Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 20. Marca 1881 r. **Tom XII.**



Nr. 12.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—11 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

NIEWOLA TATARSKA

urywki z kroniki szlacheckiej Aleksego Zdanoborskiego

zebrał

HENRYK SIENKIEWICZ.

(Ciąg dalszy.)

Rozważając sprawy one, bardzom się radował, bom zrozumiał, że albo w bitwie polegnę, na co szlachcic, żołnierz chrześciański zawsze paratus być winien — i wówczas koronę niebieską otrzymam — albo miłej ojczyźnie znaczne posługi oddawszy, ród mój do dawnego splendoru powrócę i ojców moich w niebie uraduję. Oni też to fortuny dochodzili nie sołdrowaniem po dworach, ani krzykiem na sejmikach, ale krwią, życia fundamentem, a co dzierżyli, to od Rzeczypospolitej dzierżyli i dla niej też nie żałowali, jako J. W. dziad i J. W. ojciec mój, z których każden okrytą chorągiew na wojnę z bisurmany wystawił. Niech im za to Bóg da w niebie światłość wiekuistą, boć przystoi, aby fortuna co z szabli przyszła, w szable przetopiona została. A mnie choć tam serce za Marysią boli i w trzosie wiatr świszcze, pzeciem dziedzicem jest sławnego imienia i wielkiej ambicji szlacheckiej, kwoli której po nocach jakoby trąby i głosy jakieś słyszę, co na mnie wołają: »imię nieskalane zachowaj, ojcom dorównaj, złam się nie zegnij!« Ty Boże tak mnie błogosław, jako imię przechowam: ojcom dorównam i pierwej się złamę, niż zegnę.

I tom sobie także przedsię zamierzył, że da-li mi Bóg szczęsnej chwili doczekać i po Marysię jechać, to przyjadę, ale nie w drelichu, jeno w złotogłowiu, i nie w podartej czapce, ale w piórach strusich i nie z jednym pachołkiem ale z pocztem i buzdyganem w ręku, jako paniątko po panienkę, jako możny rycerz po senatorskie dziecko. A wtedy bez ujmy dla honoru rodu mego J. W. Tworzyańskiemu do nóg padnę, boć mu się nie jako panu o fortunę, ale jako ojcu o dzieweczkę pokłonię. W ubóstwie zaś zgłosićbym się po nią zaniechał choćby mi się i dusza rozdarła, gdyż jeśli miłując ją, żonę moję pragnę z niej uczynić, to na to, by w dodatku przed jej kochanemi stopkami proch zdmuchiwać, nie zaś, aby je miała bose na ciernistej drodze żywota zakrwawić.

Coraz lepsza otucha wstępowała mi w serce w miarę, jakeśmy się z pachołkiem głębiej w step zapuszczali. Jeno smętno tam było, bo pusto, ale tak przestrono, że człeku się zdaje, iż jest onym orłem albo jastrzębem. Trawy coraz wyższe po bokach końskich ci się kładą, jakby cię ze czcią witały, i szelest wielki sprawując zdają się mówić: witaj żołnierzyku boży! Im dalej jednak, tem niebezpieczniej, bo Mohylna jest ostatnią strażnicą chrześciańską, żołnierz też tam codziennie do komunji świętej przystępuje, aby być zawsze na śmierć gotowym. Tatarzy to większemi oddziałami, to pojedynkiem ciągle się koło onej stannicy kręcą, choć gdy ich większa liczba przychodzi, łatwo człek doświadczony pozna, albowiem nocami okrutnie wilcy za niemi wyją, gdy zaś kosz większy idzie, to całe stada za nim ciągną, wiedząc, że na szlaku najdą dowolna ludzkiej i końskiej padliny. Inni mniemają wszakże, że bestje te, tatarskiego mięsa nie jedzą, przyjaciołmi tatarom będąc, którzy dla swej drapieżności i szpetnego pogaństwa, snadnie z dzikiemi bestjami mogą być porównani.

Ale w tem myszkowaniu dziwne im się także trafiają przygody, to gdy kozacy obok chorągwi pancernej w stannicy stojący, którego z nich ułowią, żadnego miłosierdzia nad nim nie mają, i okrutnie nad niemi zbytkują. W nocy raz obaczywszy płomień wielki na stepie, i ludzi koło niego, przybliżyłem się z pachołkiem, chcąc wiedzieć coby byli za jedni, a gdyby Bóg zdarzył, to i kilka strzałeczek między nich wypuścić. Ale byli to właśnie kozacy ze stannicy, którzy drzewo srogie na stepie zapaliwszy, powiązanych Tatarów żywcem w ogień rzucali, tak każdym, jakoby worem rozmachując. Owi Ałły swego wzywali napróżno, od tych zaś, którzy się już piekli, swąd wielki rozchodził po stepie, a kozaczkowie jako złe duchy w ogniu skacząc, oddawali się radości. Kazałem im zaraz tej swawoli poniechać i jeńców, jako się godzi, szablami poprostu pościnać, na co odrzekli: »umykaj, aby znać i tobie tak nie było.« Dopiero poznawszy we mnie szlachcica pozdejmowali czapki, a dowiedziawszy się, że do pułkownika pod znak jadę, wieść mnie do stannicy się podjęli. Jechaliśmy tedy przez resztę nocy kupią i bez przygody, a po drodze jeden jeszcze dziw widziałem. Oto pewne miejsce na stepie całkiem było świecącemi insektami pokryte, które koło św. Jana są i u nas, ale nie w takiej liczbie. Tam zaś, jako okiem sięgnąć, tak migotały wśród ciemności na trawie, że rzekłbyś kawał nieba z gwiazdami jasnemi się oberwał i leży jak żywy na stepie. Świtaniem dopiero one gwiazdki świecić przestały, ale też i do stannicy nie było już daleko, jako i pianie kurów świadczyło, których wielką moc, żołnierze miłując ich wdzięczne śpiewanie, utrzymują. Wkrótce potem gdy rozwidniło się jeszcze lepiej, ujrzeliśmy przy zorzy, kilkanaście żórawi studziennych, a wiater przyniósł do nas szczekanie psów i rżenie koni. Bliżej też ostrokołów usłyszałem pieśni: »Salve janua salutis« która het po rosie się rozlegała, a była najgło-

śniejsza, bo ją trzystu towarzystwa, klęcząc na majdanie, pod gołem niebem śpiewało. Przyjechawszy, udałem się zaraz do J. W. Piotra Koszczyca, możnego szlachcica z Litwy, który tam pułkownikował i był żołnierz doświadczony, bo w długiej żołnierce, tak go pocięto, iż powiadano o nim, że mu poganie cały alkoran szablami na gębie wypisali. Rycerz to był wszelkich fortelów świadom i wielce Rzeczypospolitej zasłużony. Ten, jako jeszcze z ś. p. rodzicem moim miał znajomość, przyjął mnie zgoła jakby własnego syna i tegoż jeszcze dnia do znaku zapisał. Rzekli mi potem inni, iż w porę przybywam, gdyż wkrótce szarańcza od strony Krymu się wyroi. Jakoż dowiedziałem się, że groźby były wielkie i że po wszystkich stannicach grano larum, rycerstwo zaś w największej baczności było utrzymywane. . . . .

. . . .

II.

Szliśmy, jako zwyczajnie komunikiem, gdyż kosz w ten tylko sposób dopędzonym być może. Gdyśmy we trzy godzin po południu za małe wzgórza, które pogańskiemi mogiłami zowią, się dostali, szczęśliwem dla nas zdarzeniem, tumany, które całkiem od rana step zasłaniały, opadły nagle, przy samej ziemi się trzymając. A chociaż jeszcze kosza dojrzeć nie było można, przecie po gwarze i ryku bydła, który ze mgły wychodził, poznaliśmy iż stał niedaleko, kozacy też wysłani na zwiady pod same wozy się podkradli i kilkunastu jeńców złapanych arkanami sprowadzili, ale tak srodze zbitych i poturbowanych, że choć zaraz na męki wzięci, sanguinem tylko miasto słów oribus wyrzucali. Dowiedział się jednak od nich J. W. wojewoda, że to jest kosz największy, w którym brat hana osobą się znajdował i wielu znacznych murzów, odliczywszy zaś tych Tatarów, którzy koni zapaśnych, wozów, jeńców i taboru pilnować muszą, ci którzy do bitwy użyci być mogli, czterykroć tylko liczniejsi od naszych wojsk byli. Co usłyszawszy wojewoda, zaraz począł nas na owych pagórkach do rozprawy szykować, nam zaś radość wielka wstąpiła w serce, albowiem wiedzieliśmy, że w tej proporcji i liczbie tylko czterykroć większej, Tatarzy mocy naszej oprzeć się nie mogą; ponieważ zaś tabor, a zwłaszcza wielka ilość wołów powolnych utrudniała im ucieczkę, przeto już ujść przed naszemi szablami nie byli wstanie. Wiedzieli też i oni dobrze o nas i innej rady nie mając, także do bitwy po swojemu ustawiać się poczęli, cośmy zaraz poznali po odgłosie wielkiego bębna, który oni balt zowią i za święty poczytując, głosu jego we wszystkiem słuchają. Wraz też i mgła poczęła rzednąć tak dalece, że coraz większą ilość buńczuków nad koszem się wznoszących oko dojrzeć mogło — a potem całkiem znikła. Wtedy ujrzeliśmy czarne mrowie pogaństwa, koń przy koniu i mąż przy mężu kupą zbitą w kształcie sierpa stojących. Od której kupy zaraz harcownicy stadami poczęli się odrywać i latać na wszystkie strony. Inni tuż pod same chorągwie nasze podlatali, łżąc nas, wrzeszcząc okrutnie, machając rękami i wyzywając tych, którzyby gonić się z niemi chcieli. Ale wojewoda kozakom tylko wyjechać pozwolił, aby szyk przez ten czas do zupełnego ładu przywieść, co też i wprędce się stało, bo żołnierz po większej części był stary, doświadczony i sprawny bardzo. Stojąc więc w gotowości patrzyliśmy na harce i dziwne szarwarki kozaków, którzy sobie najlepiej w pojedynkę z tem plugastwem radzić umieją. Goniono tedy na jeńca, albo i na ostre, ale choć chcieliśmy bardzo wiedzieć, jak pierwszy trup głową padnie, nie można tego było rozpoznać, bo padło odrazu kilka na wszystkie strony... Przywlókł też stary essauł kozacki jednego murzę, którego na arkan złapał pod same nogi wojewody, ale już zaduszonego, bo go wlókł z półtorej stai, przyczem i twarz mu się całkiem o osty stepowe podarła. Wzięliśmy jednak to sobie za dobrą wróżbę, a wojewoda, któremu też już pilno było, kazał w surmy i kotły uderzyć, krzycząc: poczynać! poczynać! Orda odpowiedziała wrzaskiem okrrutnym, które to odgłosy słysząc harcownicy zaraz umknęli z pola, na którem usarja miała teraz po staremu iść z całą nieprzyjacielską potęgą w zawód.

Wszystko wojsko stało, jako się rzekło na wzgórzach, gotowe zerwać się na nieprzyjaciela, ale podobało się fantazji J. W. wojewody starym obyczajem jednę chorągiew jako sokoła z obręczy naprzód puścić, aby ta, łamiąc wszystko po drodze, postrach i zamięszanie w szykach nieprzyjacielskich rozniosła. Widzieliśmy tedy tę chorągiew idącą pod wodzą Babskiego jak na dłoni, ile że spuszczając się zwolna po pochyłości, przechodziła tuż koło nas. Ale gdy ukosem przeszli, konie wzięły już impet największy, aż ziemia gięła się pod niemi, usarze pochylili się w kulbakach i złożyli kopie. Powietrze warczało srodze, a wiater uderzył od nich na nas tak mocny, że aż pióra zatrzęsły się nam na szyszakach. Tak szli naprzód z szumem od skrzydeł i kitajek właśnie jakoby burza, i znać było, że co im się oprze, to zetrą. Rotmistrze mieli rozkaz pomocy im żadnej nie dawać, pókiby sobie gościńca na wylot przez pogan nie przebili. Patrzyliśmy na nich długo, bo ze dwie staje lecieli, a kurzawa ile że szli murawą nie była wielka. Po naszych chorągwiach, które jeszcze stały, cichość zrobiła się taka, że słychać było bzykanie much i bąków. Każden tylko oczy za tamtemi wytrzeszczał, a czasem koń zarżał, lub krew wietrząc szyję wyciągnął i chrapy otworzywszy, stękał żałośnie. W koszu między poganami zrobiło się wrzenie niemałe, a potem podnieśli krzyk: »Ałła! Ałła!« i wnet chmara strzał, jakoby ulewa lunęła na usarzy, dzwoniąc po pancerzach i harnaszach. Od nich też doszło wołanie »Jezus Marja!«, co było znakiem, że wnet kopiami zderzą. Jakoż z pomocą bożą dopadli i zderzyli z takim impetem, że pogaństwo rozwaliło się na dwie połowy, jakoby drzewo klinem rozszczepione, oni zaś szli środkiem niby ulicą. Dopieroż ulica ta zawarła się z tyłu za niemi i mrowie pokryło ich zupełnie. Widzieliśmy tylko straszne kotłowanie a czasem koncerz błysnął, a czasem, gdy koń wspiął się pod mężem: ramię zbrojne, to znów proporczyk podleciał w górę jako ptak i spadł nadół. Z majdanu, gdzie nie było darni, wstała straszna kurzawa, a w niej kłębiło się i wrzało. Huk samopałów, wrzask okrutny i krzyki uszy nam prawie rozdzierały. U nas też szmery poczęły chodzić przez całe chorągwie, bo trudno było ustać na miejscu. Rwali się ludzie, a konie osadzały się na zadach. Poczęto mówić litanię za konających, gdy w tem wyrostek pewien szlachecki, zamiast: »zmiłuj się nad niemi« krzyknął: »widzę jeszcze proporce!« Wtedy żołnierze jednym głosem wołać zaczęli, by i im też skoczyć za tamtemi było dozwolono. Zapał wielki i niepowstrzymany ogarnął całe szyki. Niektórym skry szły z oczu, inni od ochoty na krew pogańską, tak się właśnie jako panny płonili; inni, młodsi, ślozy okwite roniąc i ręce ku niebu wyciągając, powtarzali: »puśćcie, abyśmy braciom naszym na ratunek iść mogli!« Ale pułkownik, ciszę wielką groźnie nakazawszy, rzekł, iż nie przystoi rycerstwu, jako byle jakiej milicji, bez komendy uderzać i zbytniem łakomstwem cierpliwości rycerskiej kazić, co jeśliby który uczynił, końmi włóczony będzie. Patrzyliśmy więc znów w milczeniu na owych ginących i na cały kosz, który się jako olbrzymi wąż żeleźce w brzuchu mający poruszał i wił z boleści, pragnąc zdusić onę chorągiew, która w nim już tkwiła. Tymczasem słońce zaszło i zorze rozpaliły się na niebie. Ale znać na komendę nie trzeba już było długo czekać, bo nagle druga chorągiew stoczyła się za pierwszą, niosąc zniszczenie, za nią trzecia i czwarta. Pod nawałą mężów zbrojnych i koni, począł się kosz kolebać, i widać było, że bezecny Mahomet runie w proch u stóp przeczystej Marji. Wtem armata, której sześć sztuk nadciągnęło właśnie za nami, zagrała z majestatem i i powagą wielką, łamiąc kulami końce kosza. Rotmistrze u nas poczęli starym obyczajem rękawy zawijać i buzdyganami groźnie potrząsać. Kolera bojowa uderzyła nam do głowy jakoby wino. Jaki taki wykrzyknął imię swego patrona, więc słyszałeś ustawnie: Święty Piotrze! Święty Janie! Święty Macieju!; jaki taki świętych poniechawszy, wołał: »bij, morduj!« Ja grzeszny sługa boży, akt strzelisty odmawiać początem, a gdym go skończył i ku Marji myśl się poniosła, to cud stał się nademną, bo nagle jaskółeczka jakowaś nad sterczącemi glewiami kółkiem się zakręciwszy, nagle na mojej usiadła i trzepiąc skrzydełkami, jęła powtarzać: ciwit! ciwit! jakoby się za mnie modliła. Więc zaraz moc jakaś weszła w kości moje, aż włosy zjeżyły mi się pod hełmem. A wtem i czas nadszedł. Od wojewody przypadł służbowy i buńczukiem machnął, wnet rotmistrze do szeregów przypadli, pułkownik krzyknął: »bij psubraty w imię boże!«

Konie osadziły się na zadach i powietrze zaświstało nam w uszach.

Wsparliśmy też okrutnie pogan, którzy powstrzymać nas nie mogąc, jako kłos zżęty pod kopyta końskie padali. Przewracaliśmy po drodze ludzi, konie, namioty, ostrokoły. Trzask łamanych kopii, huczenie armat zgłuszył. Konie kwiczały w ciżbie. Po skruszeniu kopii, gdy nowe ćmy nas opadły, poszło na szable i koncerze. Niejeden odłamkiem glewii grzmocił, lub pięścią zbrojną dusze z ciał wypędzał. Pióra usarskie ze skrzydeł i hełmów tysiącem wzbiły się w powietrze. Gorąco od tłoczenia ludzi i koni zatykało dech w gardzieli. Dopieroż poszły wrzaski ochrypłe, jęk tratowanych ludzi, pisk, świst szabel i strzał. Opór poganie dawali okrutny, ale już słabli, coraz gęstszym trupem padając, i terror jął ich ogarniać. W zgiełku i zaślepieniu nie wiedzieli gdzie uciekać, wyjąc więc i rękoma głowy osłaniając, pod cięciami mieczów marli. Konie z jeźdźcami przez furyą zdruzgotane, stosy drgające potworzyły, a my po ciałach onych i krwawej oślizgłości, siekąc, szliśmy przez tłumy ku wozom, zkąd lament jeńców pobranych, płacz przeraźliwy niewiast i wołanie ku niebu się rozlegało. Rzeź trwała już w ciemności, póki nie błysnęła łuna od wozów, gdy je kozactwo zapaliło. Dym i skry buchały kłębami, a w tych skrach i dymie bydło w taborze żałosnym rykiem napełniło powietrze; potem zasię tabór rozerwawszy, woły, owce, kozy, konie bez jeźdźców i wielbłądy zdziczałe ze strachu rozbiegły się jako uragan po stepie. Przy wozach największe powstało zamięszanie. Jedni łup w zgiełku brali, drudzy pęta jeńców cięli, którzy ręce wolne poczuwszy, łamali palące się wozy i żagwiami gromili nieprzyjaciół. Szlochanie niewiast wściekłość tem większą w żołnierzach wzbudziło, więc i ci, którzy padając na twarz ręce ku pętom wyciągali, pod mieczem marli. Znaczne oddziały, które z taboru wyrwać się nie mogły, choć o miłosierdzie wyły w pień wycięto. Za temi, które wymknęły się z pogromu, pogoń poszła, a z nią i ja skoczyłem. Przed jednym uciekały całe tłumy; ręka od cięć mdlała, konie we krwi się ślizgały, dech ustawał w piersiach końskich. W ciemności cięto na oślep. Aż koń podemną, pyskiem krew wyrzuciwszy, padł na murawę a wraz i mnie jakoby sen zaczął ogarniać, bo mi z ran krew ciurkiem uchodziła. Siadłszy, chciałem się Bogu, albo Najświętszej Pannie polecić, gdy wtem step zakręcił się ze mną, lucida sidera podskoczyły na niebie i zemdlałem. . .

. . . . (C. d. n.)

SZEKSPIROWSKA HISTORJA TRAGICZNA

O KSIĘCIU DUŃSKIM HAMLECIE

napisał

Włodzimierz Spasowicz.

(Ciąg dalszy.)

Odkładając na stronę kwestyę, kto większy poeta? bo są to dwie wielkości różnorodne, nie dające się mierzyć jedną stopą, a nie stawiąc nawet drugiej kwestyi: kto większy tragik, bo większy niezawodnie Szekspir, wracamy do Hamleta, w odcieniowaniu, którego Szekspir dowiódł największego mistrzowstwa psychologicznego. Głębia i zagadkowość tego niesłychanie realnego, mimo swoję niezwykłość charakteru, uwydatniają się szczególniej od końcowej sceny z duchem w akcie I. Wszystko co przedtem idzie — to tylko zawiązanie się dramatu, i aż do objawienia się ducha Hamletowi należy do tak zwanej w technice dramatu *ekspozycyi*, w ciągu której postać księcia nie wyłania się z obsłon kiru żałobnego, przykrywających wszystkie jego cechy indywidualne, a odznacza się tylko większym stopniem tak naturalnego w jego położeniu smutku, większą niż u innych ludzi tęsknotą i chorobliwą wrażliwością, odczuwającą boleśnie każden fałsz w życiu, każdą niedelikatność (I, 2,) *O czemu to zbyt zsiadłe ciało nie stopnieje, nie skropli się w rosę, czemu zakazane Bożem przykazaniem samobójstwo.* Na słowa matki: „zdaje się“, syn wybucha gwałtownym, pełnym gniewu ale i rozżalenia ustępem. *U mnie nic żadne »zdaje się« nie znaczy, Niczem sam przez się ten oczom widzialny, Czarnej żałoby krój konwencyonalny... Żałość na widok stawiana obliczem, Miną, gestami — to wszystko jest niczem, To tylko zdaje się, bo potajemnie Można być obcym temu, ale we mnie Jest coś, co w ramę oznak się nie mieści, W tę barwę żalu, liberyą boleści.* Ta bezdenna melancholia obejmuje w sobie coś więcej niż prosty rozstrój nerwów: tkwi w niej niewytłómaczone i nie wyrozumowane przeczucie strasznej tajemnicy, która cuchnie aż w niebiosa i zaraża powietrze w Danii, bo król wedle świadomego tej rzeczy Rozenkranca — *to byt, Na którym polega życie milionów! Nie kończy nigdy majestat dni swoich sam jeden, Jak opadający potok chłonie z sobą... wszystko co było w pobliżu* (III, 3). To też pierwszy wykrzyk Hamleta na objawioną przez ducha tajemnicę jest: (I, 5) *o, moja wieszcza duszo!* (o my prophetic soul). Wykrzyknik ten, zaznacza chwilę, w której przeczucie zmienia się w pewność i jak od elektrycznej iskry zapala się samo działanie. Wprowadzenie widma dokonane jest z mistrzostwem, w którem Szekspir nie ma sobie równego i wskutek którego zapomocą kilku rysów, otacza on nas atmosferą właściwą akcyi i sprawia zupełne złudzenie, jak czarodziej, nie wymagając żadnego wysiłku wyobraźni ze strony słuchaczów. Widmo panuje nad całym aktem I-m, czujemy ostre zimno i świst wiatru morskiego o północy, szum fali morskiej rozbijającej się o brzeg i nawet doświadczamy tych tajemniczych dreszczów, które przy ukazaniu się zjawiska mianego za nadprzyrodzone prostują włosy, tak, *że te stają dębem jak na jeżu kolce.* Mamy przed sobą okaz najwspanialszego zastosowania do dramatu pierwiastku fantastycznego, zastosowania, które sprawia na scenie do dziś dnia tak potężny efekt, jak za czasów Szekspirowskich. Zachodzi pytanie o przyczynie dla czego? Na to pytanie odpowiedź bardzo prosta.

Dowiedzioną jest rzeczą, którą biorę za pewnik, że u Szekspira, jak u każdego wielkiego artysty, wprowadzony na scenę świat duchów nie jest tylko czczą allegoryą albo udramatyzowaniem zachodzących w duszy bohatera wypadków, że nawet wiedźmy w Makbecie nie są jedynie upostaciowaniem żądz na dnie duszy jego uśpionych, ale istotami iście demonicznemi, że po za duszą człowieka w świecie i przez świat niewidome siły działają i wpływają na jednostkę, unosząc ją po za kres jej dążeń i zamiarów; jako w powietrzu unoszą się miliony niedojrzanych żyjątek, które będąc wprowadzone w krew i mnożąc się, zabijają organizm, tak w każdej atmosferze społecznej unoszą się niezliczone miazmy zepsucia i grzechu, które postaciować może wyobraźnia. Jakkolwiek wielką i pyszną jest nasza wiedza, i mnoży się co chwila, jednak będzie ona zawsze wyglądała jak mały jasny krążek, a po za tym krążkiem idzie w półcieniu wązki pasek jeszcze niepoznanego, a za tym paskiem czarny przestwór wiecznie niepoznawalnego. Granice tych trzech obszarów są ruchome i chwiejne. Czasami mroczny cień pada aż na sam środek jasnego krążka naszej wiedzy, gdy zajdzie wypadek zagadkowy, zmylający wszelkie rachuby. Czasami umysł z tytaniczną odwagą rzuca się w niewiadome, ufając że je posiadł albo posiędzie. Są takie wielkie wybrane umysły, które się ważą na podobne przedsięwzięcia i pragną samych wniebowstąpień i zmartwychwstań i którebym nazwał *metafizycznemi.* Takiemi pół poetami, pół wizyonaryuszami byli Dante, Krasiński. W oczach Krasińskiego nawet Szekspir jest empirykiem i materyalistą dla tego, że stojąc twardo na lądzie, niby na samym cyplu Nordkapu, mierzy on tylko okiem głębie morza północnego, to jest po za świata i nie waży się na wyprawę do samego bieguna północnego.

Stanowczo wyróżniająca Szekspira od płytkich materyalistów pewność o czemś co się ani marzyło filozofom, czy go nazwiemy Bogiem czy z samym Krasińskim (Kron. rodz. 1875 s. 98) *tem niepojętem szatańskiem zerem, które co chwila przetwarza się na coś, ale dopóki go nie znamy przeraża nas tajemnicą nieskończoności,* już stworzyło między Szekspirem a społeczeństwem węzeł umożebniający użycie świata duchów przez poetę ze skutkiem scenicznym. Na to nie trzeba wizyi i zmartwychwstań, na to nie trzeba również prostej, kruchcianej wiary, dość gdy autor przytwierdzonym jest, że tak powiem, do tej samej łodygi, z której i ta kruchciana wiara wyrosła, więc bez trudności w duchu tej kruchcianej wiary użyje wyrobione przez nią obrazy i formy, stanowiące podkład umysłowości i u ludzi najwykształceńszych i u prostaczków. Szekspir dwa razy zużytkował piekło i czyściec w trwogach więzionego Klaudio z „Miarki za miarkę“ (III, 1) *zamienić ciało żywe i gorące Na gliny garstkę, gdy duch wywołany Albo się kąpie pośród fal ognistych, Albo drży w wiecznych zamarznięty lodach, Lub w niewidzialnych uwięziony wiatrach, W gwałtownym pędzie nad wiszącym światem krąży bez końca)* i w widmie starego Hamleta. Rola ducha przeprowadzoną jest w Hamlecie ściśle wedle wierzeń ludowych: zjawia się po północy, znika gdy kur zapieje, płonie w siarczystych płomieniach albo błąka się wypuszczony z marmurowych objęć grobowca po świecie podksiężycowym, póki się nie wypali kał nieodpokutowanych grzechów, bo nieboszczyk zginął bez namaszczenia, bez przygotowania, bez porachunku z sobą. Nietylko rola widma jest ściśle tradycyjną, ale i zachowanie się Hamleta trzymane jest w tymże tonie prostej wiary (I. 4; *Aniołowie Pana zastępów miejcie mię w swoje opiece* (III, 4) *osłońcie mię opiekuńczemi skrzydły.* Iść za duchem Hamlet decyduje się tylko ze względu na to, że *To życie*

szpilki złamanej nie warte, A dusza moja jak on nieśmiertelna. Nawet wpadając w swój nałogowy sceptyzm, Hamlet nie ducha lecz rozkaz tylko jego podaje w wątpliwość z pobudek najbardziej zgodnych z wiarą i teologicznych: *błogosławionyś ty czy potępiony! Tchniesz li tchem z niebios czy wyziewem z piekieł...* (I, 4) *Ten duch mógł być szatanem i nadużywając mojej słabości i smętności, ciągnie mię może w przepaść.* (II, 2.).

Na zestawieniu tego obcowania z duchem w końcu aktu II ze znakomitym, bezpośrednio prawie potem, na początku aktu III, monologiem: *być albo niebyć,* osnuł *Rümelin* swój, dowcipny i trudny na pozór do zbicia, zarzut przeciwko układowi i budowie dramatu, polegający na tem, że sceny z duchem i monolog polegają na rdzennie przeciwnych zapatrywaniach się na duszę, na dwu przeciwnych porządkach myślenia, bo w pierwszych dwóch aktach Hamlet stoi całkiem na stanowisku grubej i naiwnej wiary ludowej w duchy, a w monologu stawi pytanie umrzeć — zasnąć — może śnić, a więc może i nie śnić — to jest podaje po prostu w wątpliwość dogmat nieśmiertelności duszy, z dodatkiem: *któżby dźwigał ciężar nudnego życia, Gdyby obawa czegoś poza grobem, Obawa tego obcego nam kraju, Zkąd nikt nie wraca* (a przecież duch ojca wracał) *niewątliła woli* (III, 1). Przeciwieństwo na pierwszy rzut oka rażące, wada tem ważniejsza, że dotyczy nie drugorzędnych szczegółów akcyi, i ornamentów, ale stanowi kapitalną skazę i szczerbę w posągu głównym, środkowym.

A jednak monolog ten filozoficzny, w żadnym związku z akcyą niebędący, tak charakteryzuje Hamleta, tak zdaniem powszechnem, do niego przyrósł, że wszelką inną scenę możnaby raczej obciąć i wyrzucić, tylko nie to sławne: *być albo nie być,* które stanowiło w pierwotnem opracowaniu część aktu II, a potem już w drugiem opracowaniu przeniesione zostało do III aktu. Widocznie w tym dramacie myśl zbyt wielka rozsadzała formę. Pierwotnym materyałem była saga pogańska, artystyczne ukształtowanie jej przeprowadzone zostało w duchu przesądnym wieków średnich, ale uosobione w księciu duńskim zwątpienie, przekroczyło cykl pojęć katolickich i doszło do mety, do której sięgało w wieku kończącego się renessansu i początków reformy. Ateuszem nie mógł zostać Szekspir — upragniony ideału artysta, ale już gadano głośno jak się wyraża *Lafeu* w sztuce jego: „Wszystko dobrze, co się kończy dobrze“ (II, 3), *że czasy cudów minęły, już z cudów się śmiano,* zasada niewzruszalności praw natury stała na porządku dziennym. Nie jest dostatecznie dowiedzionem przypuszczane przez niektórych, naprzykład przez Tchischwitz'a (Shakespere's Hamlet, Halle 1868) przejęcie się Szekspira filozofią atomistyczną Giordana Bruno, owszem zdaje się, że Szekspir-artysta nie hołdował wyłącznie żadnemu systematowi filozofii, ale potrącił zlekka w Hamlecie główny filar, na którym się opiera cały gmach wyobrażeń chrześcijańskich.

Nie rozumem, ale zwątpieniem serca kierowany Hamlet uchyla rąbek wielkiej zasłony: *o gdyby wiedziano z pewnością, że wypadnie poprostu zasnąć a nie marzyć w grobie, któżby ścierpiał pogardę i zniewagi świata, Krzywdy ciemięzcy, obelgi dumnego, lekceważonej miłości męczarnie, Przewłoki prawne, butę władz i owe upokorzenia, które bezustannie Cichej zasługi stają się udziałem, — Gdyby od tego kawałkiem żelaza Mógł się uwolnić.* Po tem badawczem zajrzeniu w próżnię, zazierający cofnął się pobladły: *tak to wrodzona rumiana cera postanowienia* (hue of resolution) *niknie w skutek bladego koloru myśli; tak to sumienie* (nie rozwaga, jak czasami tłómaczą, ale *conscience) czyni nas tchórzami,* to jest każe nam żyć i cierpieć. Temat o samobójstwie jeden z najpospolitszych u Szekspira, powtarzany z dziesięć razy i prawie zawsze z naganą i wstrętem. Wprawdzie ginie w ten sposób poetycznie miłosna para kochanków werońskich, ale w usta Limogery w Cymbelinie (III, 4) wkłada Szekspir te słowa: *są boskie prawa przeciw samobójcom,* a w Juljuszu Cezarze (V, 1) Brutus oświadcza wychodząc już z innych pobudek: *nie wiem czemu Ale mi się to wydaje tchórzostwem, Nawet podłością, skracać sobie życie z obawy czegoś, co może nastąpić.* Cała waga monologu leży nie w podjęciu tematu o samobójstwie, ani w takiem powiązaniu tego tematu z dogmatem o odrębnem od ciała istnieniu duszy, że ostatni przemaga nad pierwszym, lecz w tem, iż książę duński w swojem usposobieniu pesymistycznem pieścił się z myślą, która otwiera na oścież wrota samobójstwom i mnoży je, z myślą, że po śmierci ustaje indywidualność i nastaje wielkie nic, w które jednak nie odważył się książę zapuścić myśli jakby kotwicy i wrócił nazad, wyrzekając się wycieczki. W tem zawróceniu nazad zostaje zharmonizowany sceptycyzm Hamleta z jego zasadniczą wiarą i znika — a zapomina się wytknięty przez Rümelina dyssonans, bo któż nie wahał się, któż nigdy nie wątpił? Ale poprzedzające postawienie pytań w chwili zawahania się, już wystarczyło do wyznaczenia Hamletowi odrębnego miejsca w literaturze tytanicznej, która od Eschylesowego Prometeusza i księgi Hioba idzie do Fausta, Manfreda i Konrada. Z tego punktu widzenia rozważany Hamlet i nie jest pierwszym z rodu i ma nadzwyczaj rozrodzone prawe i nieprawe potomstwo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZEJ BRACIA.

II.

Raz w nadmiarze wesela,
Rycerz spity jak Bela,
Gdy legł między puhary,
Obcy ludzie do domu,
Weszli chyłkiem, kryjomu —
I w ich ręce wpadł stary...

Pijanego rycerza,
Skuli w dyby, jak źwierza,
A i drugich pojmali,
I w chatynce zabranej,
Jęli rządzić jak pany
Ostrym mieczem ze stali...

Wiodą żywot wesoły,
Uginają się stoły,
Wszędzie przepych lśni złoty,
Piosnki, śmiechy z ust płyną,
Strugą leje się wino
Wśród szalonej ochoty...

A tam w lochach pod niemi,
Między ściany czarnemi
Pośród ciszy grobowej,
Jęczą dawni dziedzice,
Roszą gorzką łzą lice
I wstrząsają okowy...

Płyną lata niewoli,
Oh! nieznośnie powoli
Niby piasek w klepsydrze,
Ale w braci trzech łonie,
Zemsty krwawy znicz płonie,
Niż go z piersi nie wydrze...

Naprzód rycerz się zrywa,
Już sztandarem powiewa,
Rąbie w koło krwią zlany,
Lecz wrogowie zajadli
Całą siłą nań wpadli
I znów brzęczą kajdany...

Po raz drugi i trzeci
Krwawej walki żar nieci,
Lecz napróżno krew leje,
Wrogów silna gromada,
Nowe więzy nań składa,
Niszcząc świeże nadzieje...

Więc pan rycerz w łańcuchu
Jęcząc ciężko — na duchu
Jął upadać i woła:
«Bracia moi z tej doli
Cóż nas teraz wyzwoli?
Bóg mi ześle anioła!...

My synowie wyrodni
Łaski niebios niegodni,
Nasza sprawa przeklęta...
Więc porzućmy marzenia,
Które szydząc los zmienia
Na loch ciemny i pęta...

Rzecz pokrótce wyłożę...
Zamiast bić się — w pokorze,
Grzecznie, skromnie, układnie,
Skroń uchylmy przed władzą,
A z pewnością nam dadzą,
Co ze stoła im spadnie...»

«Oh! nasz bracie! Twe słowa,
Niby ziemia grobowa
Przyciskają nam łono
Choć nam sił już nie staje
Nie pójdziemy w lokaje,
Wolim krew lać czerwoną!!»

«Ha! Jak chcecie, panowie,
Brat najmłodszy odpowie,
Szczerze radzę wam — z duszy —
Ja zaś rzucę wybiegi,
Wstąpię w pańskie szeregi
I pozbędę katuszy...

My synowie wyrodni,
Łaski niebios niegodni
Nasza sprawa przeklęta...
Więc porzucam marzenia,
Które szydząc los zmienia
W ciemność lochów i pęta!...»

Nie wzdrygnąwszy się wcale,
Między wroga wasale
Poszedł rycerz herbowy,
A tam w lochach pod niemi
Między ściany czarnemi
Brzęczą krwawe okowy...

(Dokończenie nastąpi.)

Bolesław Cz.

Kronika Tygodniowa.

Pomimo, że pisma codzienne rozniosły już po wszystkich zakątkach kraju wiadomość o powołaniu przez Opatrzność (tak powiada manifest) cara Aleksandra II ukochanego monarchę i oswobodziciela, nie możemy przemilczeć o tym fakcie, który zbyt silne uczynił wrażenie na publiczności lwowskiej. Pierwsze telegramy otrzymane w zeszłą niedzielę wieczór, lotem błyskawicy rozniosły się po mieście tak, że w poniedziałek rano, nie było stróża, nie było kucharki, któraby nie rozpowiadała o tem niezwykłym czynie Wszechmocnej Opatrzności. Mówimy niezwykłym, albowiem wybrała ona sobie tym razem za narzędzie szklanne bomby napełnione nitro-gliceryną i ręce tyle zakamieniałych w swej nienawiści dla cara Aleksandra II go nihilistów. Następca zabitego cesarza Aleksander III w przemowie swej do reprezentantów Rady państwa obiecał tak rządzić powierzonem sobie przez Boga państwem, żeby zasłużyć na miłość i przywiązanie ludu. Zgadzamy się na to i zauważyliśmy, iż pierwszy to jest monarcha rossyjski, który w ten sposób zaczyna pojmować swoje wysokie obowiązki. Nie potrzebnie tylko dodał, to zbyteczne wyrażenie: „podobnie jak mój ojciec“ — i zdaje nam się byłoby właściwiej gdyby naprzykład powiedział: „jak cesarz austrjacki.“ Zresztą jestto kwestja zapatrywań już osobistego znaczenia, dość, że pragnie miłości, pod którą zapewne i nasi rodacy zostający pod berłem rosyjskiem podciągnięci zostaną.

Nie możemy powiedzieć tego, żeby ten wypadek zabójstwa cara Aleksandra, na publiczności lwowskiej wywarł przygnębiające i smutne wrażenie. Rozprawiano, i do dziś jeszcze rozprawiają wszelkiego rodzaju polityce o tej śmierci, chwytają nowe numera gazet przepełnionych szczegółami katastrofy, kombinują przewroty, które powinny nastąpić tak w wewnętrznej Rosji, jako i europejskiej polityce i starają się wysnuwać coś dla nas i dla ludzkości pomyślniejszego. Tymczasem wiadomem jest powszechnie, że zmiana osób wobec systematu nie ma żadnego znaczenia zwłaszcza w takiem państwie jak Rosja, i że szereg zamachów z taką uporczywością wznawianych przeciw Aleksandrowi II, miał więcej charakter osobistej zemsty, aniżeli ogólno państwowy. Zmarły cesarz o ile wiadomo, posiadał bardzo chwiejny charakter i stara kamarylla rządząca Rosją korzystała z tego, przeprowadzając pod jego firmą czysto osobiste interesa i cele — dowodem tego ostatnie powstanie nasze w r. 1863 i tak liczne a tak niepolityczne zarazem i okrutne egzekucje, zsyłki, mściwe gnębienia — niestety słabych przeciwników. Prawdziwa i pewna swej władzy siła surową jest ale zarazem wspaniałomyślną; tu zaś przeciwnie sztuczna groza miała zastąpić potęgę siły, a twardy i małoduszny upór — chciał nakazać dla siebie uszanowanie.

Wszystko to było dobrem, kiedy stosowało się do Polski, w kraju niepoprawionych buntowników i spiskowców, ale gdy te same prawidła zastosowano do Rosji, powstało powszechne oburzenie, a oburzenie to wywołać musiało zemstę posuniętą do najwyższego szczytu smutnego wprawdzie, ale zawsze poświęcenia. Powtarzamy, że wśród społeczeństwa naszego, fakt sam nie mógł wywołać żalu i oburzenia — kłamalibyśmy wobec siebie i Europy gdybyśmy utrzymywali inaczej. Dlatego też zupełną aprobatę zyskało postąpienie parlamentu wiedeńskiego, który sam jeden wśród parlamentów nie postawił wniosku na oświadczenie kondolencji z powodu tego wypadku. Z drugiej znów strony dalecy jesteśmy od objawów jakiejbądź radości tak z powodów czysto ludzkiego i chrześciańskiego charakteru, umiejącego postawić się na stanowisku wyższem ponad zwyczajne namiętności ludzkie — a powtóre z zasady, że zmiana osoby jeszcze nie wyrokuje o zmianie systemu. Tyle zamachów jednak, kierowanych z upartą i niepohamowaną usilnością powinno raz przecie otworzyć oczy następcy zabitego cara, że jest pewna granica nawet dla samowładnego monarchy, której wobec głosu sumienia narodowego, tak lekko przekraczać i lekceważyć nie można. Sam cesarz niemiecki Wilhelm powiedział gdy mu przyniesiono telegram, że konwój i straże otaczające monarchów ustąpić muszą przed władzą opatrzności. Czy zrozumie te słowa car Aleksander III -- zobaczymy!

* * *

Gdy obecnie powszechnie uznanym został dobroczynny wpływ stowarzyszeń, gdy w kraju naszym pozawiązywały się najrozmaitsze spółki mające na celu tak dobro członków jak i interes ogółu, dziwnem się wydaje, że sami tylko księgarze dotąd nie poczuli potrzeby zawiązania się w stowarzyszenie. Towarzystwo księgarzy polskich byłoby przez kraj powitane bardzo sympatycznie. W zakresie wewnętrznym wyrugowałoby ono stanowczo niemieczczyznę, która dotąd panuje jeszcze, a dla kraju mogłoby nie małą oddać usługę przedsiębiorąc wspólnemi siłami wydawnictwa przechodzące możność pojedyńczych firm, jako też popierając wydawnictwa mające rzeczywistą wartość. Kto miał sposobność zbliska przypatrzyć się stosunkom naszym księgarskim, ten wie, w jak opłakanych one zostają warunkach. Księgarnie nasze, prawie bez wyjątku, utrzymują się przeważnie handlem produkcji niemieckiej. Więcej bez porównania rozchodzi się u nas Modenweltów, Ueberlandów itp. aniżeli czasopism polskich. Toż samo i wydawnictw książkowych, zwłaszcza tanich wydawnictw. Taka bibljoteka Reclama odbyt ma u nas ogromny, z którym porównać nawet nie można Bibljoteki Mrówki lub Taniego wydawnictwa Wiślickiego, a nadzwyczaj skąpe wydawnictwa ludowe nasze ze strony polskiego księgarstwa nie znajdują żadnego poparcia. Temu wszystkiemu towarzystwo księgarskie choć w części mogłoby zaradzić, a powoli i znaczne oddać krajowi usługi. Wiemy, że księgarze prowincjonalni bardzo gorąco pragną zawiązania takiego towarzystwa, lecz z natury rzeczy nie mogą wziąć inicjatywy, która należy do księgarzy lwowskich lub krakowskich, a przedewszystkiem do pierwszych. Księgarze lwowscy mają już nawet między sobą coś w rodzaju stowarzyszenia, na czele którego stoi p. Edmund Milikowski. Otóż zdaniem naszem do niego należałaby inicjatywa w zawiązaniu Towarzystwa księgarzy, albo też do p. Karola Wilda, jako najstarszego wiekiem. Od nich oczekujemy więc zapoczątkowania, które zdaniem naszem wyraz swój znaleść powinno w zwołaniu zjazdu księgarzy i wydawców polskich tak z Galicji jak i księstwa Poznańskiego (z pod zaboru rosyjskiego trudno oczekiwać gości, wobec tamtejszych stosunków). Oby głos nasz wypowiedziany był w szczęśliwą chwilę!

O KSZTAŁCENIU CHARAKTERU

przez

FELICJĘ z WASILEWSKICH BOBERSKĄ.

(Ciąg dalszy.)

I jakżeż wychowanie ma działać, by podnieść człowieka do tej wysokości: wykształcić i rozwinąć charakter? Spotykamy się czasem z twierdzeniem, że wychowanie jest bezsilnem, człowiek wyrasta jakby pod wpływem jakiegoś fatum, takim, jakim go natura wydała i przypadkowe urobiły okoliczności. On sam temu nie winien, jakim się stał Odpowiedzią na to będzie cała dalsza treść odczytu. Inni znowu mniemają, że zadaniem wychowania jest wykorzenić naturę, a urobić dziecko takiem, jakiem sądzimy, że być powinno. Chęć wykorzenienia natury jest zadaniem bardzo trudnem: usiłując je przeprowadzić, łatwiej wywołamy fałsz i obłudę, które pokryją wrodzone usposobienie, niż takowego się pozbędziemy. Jeżli się zaś to dzieło uda, jeżli wyrwiemy, odbierzemy charakterowi przyrodzoną, indywidualną podstawę, to będziemy budować bez gruntu; doświadczenie niepoliczone razy stwierdziło, że wtedy wychowamy istotę słabą i chwiejną, bez żadnego charakteru, gdyż sztucznie naciśnięty przez nas ustąpi przed pierwszą trudnością czy ponętą w życiu, rozleci się sztuczna powietrzna budowa, albo też rzucimy tę istotę, wykoleiwszy ją z właściwych torów, w drugą ostateczność tego usposobienia jakie jej było przyrodzonem, w przywary nieskończenie gorsze niż mogły być naturalne popędy. Nie dowodzi to jednak, aby wychowanie miało być bezsilnem w obec natury; pomagając jej, korzystając z samychże popędów, aby dobre rozwijać, uszlachetniamy naturę, i wyrabiamy charakter, silnie oparty, bo na całem przyrodzonem, indywidualnem usposobieniu, które wychowawca poznać powinien i odpowiednio działać. Złym bezwzględnie, ofiarą nieprzezwyciężonego fatum nikt nie jest z natury; z każdego zaś popędu można rozwinąć zaletę, lub jeden drugim zmodyfikować i nie dopuścić, aby się pierwszy stał szkodliwym. Są właściwości i popędy natury ludzkiej, które się niemal w każdem dziecku objawiają. Któreż dziecko, jeżli zdrowe nie lubi ruchu? Najmłodsze, gdy płacze opowite, dość rozwinąć i położyć, aby mogło poruszać swobodnie rączkami i nóżkami, a uspokaja się i rozwesela. Troszkę starsze dziecko przepada za ruchem i czynnością, za tem by mu dozwolono samemu coś zrobić. Popęd ten, to skarb nieoceniony. Korzystajmy zeń, przyzwyczajajmy dziecko aby w czem tylko zdoła jak najwcześniej same sobie usłużyło, aby ustawicznie było czynne, aby oddawało drugim drobne posługi, a popęd ten przyrodzony stanie się gruntem ogromnych zalet: samoistności, pracowitości, usłużności chętnej drugim. Każde dziecko lubi naśladować — jakaż to pomoc cenna w wychowaniu, w nadaniu dobrych nawyknień, jeżeli otoczymy dziecko

dobrym przykładem, tym najpotężniejszym czynnikiem wychowania. A popęd do ciekawości, jakaż to znowu pożądana pomoc ku wykształceniu umysłowemu. Dziecko jest w najwyższym stopniu egoistą, to prawda, popęd miłości własnej najsilniej się objawia, ale ma oraz popęd do towarzyskości, i tym drugim można pierwszy powściągać. Uważmy jak dziecko nie lubi być samem, jak potrzebuje towarzystwa, jak się niem cieszy; zabawki, zwierzęta, przeistacza sobie w towarzyszy; czyż lalka dla dziewczynki, konik dla chłopczyka, kotek lub piesek domowy, nie stają się ukochanymi towarzyszami? Popęd ten rozbudzajmy i kierujmy nim tak, aby towarzyskość stała się miłością drugich, przywiązaniem rodzinnem, i z czasem przeciwważyła egoizm. Wkładajmy w to dziecię, aby robiło przyjemność komuś drugiemu, i własną w tem znajdowało. To wcale nie jest trudnem: Istota ludzka nie tylko ma popędy — w niej spoczywa możność i zdolność wysokiego doskonalenia się; naszej duszy właściwością jest potrzeba dobrego, rozkoszowanie jeżli je spełniamy; zdolność tę i właściwość wychowanie rozbudza i wykształca, lub ją przytłumia. Dziecko łatwo słowem i przykładem zachęcić czy to do oddania drobnej przysługi, czy do podzielenia się czemś, łatwo rozbudzić w niem zadowolenie, że tego dokonało — n. p. „Daj siostrze to ładne jabłuszko, obaczysz jak się ucieszy i jak tobie to będzie miło." „Zanieś ty sam stołeczek pod nogi babci, a będzie rada żeś już to potrafił." „Dajmy oboje tej biednej kobiecie co możemy, bo ona ma dzieci głodne i nieodziane; jacy my szczęśliwi, że ich troskę zaopatrzymy!" W podobny sposób zachęcone, gdy dziecko kilka razy postąpi dobrze i uczuje ztąd zadowolenie, już łatwo je dalej wieść tą drogą. Przebywając wiele z dziećmi, zajmując się niemi, można bez przymusu, przykładem, namową, współdziałaniem wprowadzić je w najlepsze nawyknienia, rozwinąć wiele pięknych zalet.

My, przeciwnie, częściej sami wywołujemy złe w dzieciach; lekceważymy najpierwsze lata ich życia, niezmiernie jednak ważne dla przyszłości; psujemy je, gdy małe, aby następnie karcić, i usiłować odrabiać, co sami sprawiliśmy. Gdybyśmy wad nie obudzali, nie potrzebowalibyśmy kar, lub nie dawali wzrastać błędom dziecinnym w ciężkie przywary ludzi dojrzałych.

Najmniejsze, parotygodniowe dziecko, już można psuć, n. p. dziecię ustawicznie na ręku piastowane, przyzwyczaja się tak do tego, że niechce spać ani leżyć inaczej jak na rękach. Jeżeli przyjdzie jakieś zajęcie domowe, przy którem dziecko koniecznie musimy położyć, ono płacze i krzyczy. Dajemy mu więc niepotrzebne nawyknienie, tworzymy sztuczną potrzebę, a tej nie mogąc czasem zadość uczynić, rozdrażniamy wtedy nerwy dziecięcia, pobudzamy je do niecierpliwości i gniewu. Ileż to podobnych rzeczy się robi, ile zachceń i wymysłów dajemy dziecku, którym nie zawsze mogąc dogodzić, drażnimy je, rozwijamy w niem złość i upór. Przypomnijmy sobie, ile razy widzieliśmy, jak ktoś dla zabawki droczył się z dzieckiem, lub udawał, że bije stół, gdy się dziecko o takowy uderzyło, albo piastunkę, że temu nie przeszkodziła — czyż to nie jest uczeniem jakby umyślnem złości i mściwości? Straszenie dzieci, n. p. kominiarzem i t p. nie mniej szkodliwe, bo i nerwy rozdrażnia, i wywołuje bojaźliwość, tępi odwagę, bez której nie ma charakteru, ani cnót istotnych. Najgorszą wadę, kłamstwo, szczepimy sami: popędu do niej nie ma w naturze dziecka. Uważmy jak dziecko wierzy każdemu słowu które usłyszy, każdej rzeczy, którą mu obiecują, aby go uspokoić lub zabrać od matki; sto razy da się zwieść jednem i tem samem, n. p. ptaszkiem, który przyleciał do drugiego pokoju. Widzimy ztąd, jak trudno dziecku urobić sobie wyobrażenie nieprawdy; ale jeżli n. p. trzyletnie, nie dowierza już temu co usłyszy, to ciężką na nim popełniono winę, i wkrótce rodzice jemu nie będą mogli wierzyć; a sami to sprawili. Przykładem kłamstwa uczymy, więc napróżno nakazujemy i zachwalamy mówienie prawdy. Czego nie damy przykładu, tego nie wpoimy; próżnobyśmy zalecali miłość bliźniego, jeżli dziecko widzi, że nasze czynności są samolubne, próżno będziemy poskramiali złość i gniew, jeżeli się sami łatwo unosimy i gniewamy. Wychowujący lub powołani do wychowania, powinni najpierwej zaczynać to dzieło od siebie.

Znam rodzinę, której matka rozpieszczała liczne dzieci, dogadzała, pobłażała wiele; lecz one patrzyły na jej nieograniczone zrzeczenie się siebie, a poświęcenie dla nich, na jej ustawiczną miłość bliźniego, niewyczerpaną dobroć, i przykład naprawił co było błędnego w wychowaniu: żadne z tych dzieci nie wyrosło na egoistę, nie jest zdolnem jakiegokolwiek nagannego czynu. Kochać bardzo dzieci, okazywać to pieszczotami można, a nawet powiedziałabym, trzeba, koniecznem jest oraz zostawianie dziecku wiele swobody. Miłość i pieszczota rozwijają uczucie, łagodzą usposobienie, czynią je swobodnem i harmonijnem, co wielkiem dobrem w dalszem życiu. Kto nigdy nie czuł się bardzo kochanym, czyje serce nie było zadowolonem w dzieciństwie, ten częstokroć wnosi w życie uczucie niespokojne, rozdrażnione, pozbawione miary, łatwo idące w ostateczność. U dziewcząt zwłaszcza zdarza się to nieuchronnie, przy rozdrażnionem zaś uczuciu trudno o spokój, bez którego nie ma siły charakteru.

Miłość i swoboda wywołują szczerość, prawdę; swoboda rozwija samodzielność i odwagę. Ale można kochać i okazywać to, można wiele swobody zostawić dziecku, a przecież je nie psuć; przecież wprowadzić je od początku w posłuszeństwo, w ład pewien, w dobre nawyknienia, w poszanowanie przedewszystkiem powinności, i poddauie się takowej. W wychowaniu fizycznem musimy się starać,aby dawać dziecku to wszystko czego wymaga jego zdrowie, siła, wzrost ciała; ale żadnych zbytecznych nie rozbudzajmy potrzeb, żadnych wymysłów i zachceń, niczego nie dopuszczajmy, coby wyrabiało rozdelikacenie miękkość, coby czyniło człowieka niewolnikiem potrzeb i wygód. Rozdelikacenie, wychowanie miękkie szkodzi zdrowiu i sile ciała, prawie niemożliwym czyni rozwój silnego charakteru. Kto ma mnóstwo potrzeb, komu wiele zależy na rozlicznych wygódkach, kto przywyknie do zbytniego dogadzania sobie, ten koniecznie siebie i swe wygody nadewszystko ukocha, ten nie potrafi zgodzić się na niedostatek, choćby tego uczciwość żądała, nie potrafi narazić się na cierpienie lub wytrwać w niem dla dokonania wielkiego, pięknego obowiązku. Jest to biedna, niedołężna istota, taki niewolnik zbytkowych nawyknień: niezdolny podjęcia trudów, ratowania się pracą i wytrwałością, nie wytrzymały; najnieszczęśliwszym jest gdy mu czegoś zabraknie, i łatwo wtedy ucieka się do nikczemności lub samobójstwa. Hartowne wychowanie, dające mało potrzeb jest niewątpliwie wielką dźwignią i szczęścia i charakteru. Nie wyklucza zaś wcale przyjemności i uciech wieku dziecinnego; przeciwnie, przy swobodzie, przy pewnem zahartowaniu daleko ich więcej dziecko ma i więcej używa, niż rozdelikacone, któremu śmielsze zabawy są trudne i niedostępne, a inne przyjemności do zbytku dostarczane nie sprawiają już uciechy, bo się zużyły.

Otaczanie dziecka z byt wielką troskliwością i usługą czyni je nieporadnem, niepraktycznem; ustępowanie mu, pobłażanie nieograniczone błędom, zaślepienie na nie, dopuszczanie samowoli, wszystko to wychowuje koniecznie egoistę bez charakteru, igraszkę własnych żądz i zachceń, który nie tylko nie dopełni powinności człowieka, ale będzie tem więcej cierpiał w życiu, tem dotkliwiej czuł każdą przeciwność, im więcej im więcej siebie kocha, im mniej przywykł czegokolwiek sobie odmówić.

Z drugiej strony popędliwe obchodzenie się z dziećmi, surowe karanie, wywołuje złość, zawziętość, upór, lub fałsz i chytrość. Szorstkość w postępowaniu z dziećmi, czyni je szorstkiemi. Karność zbyt ścisła, niewoląca, łamie charakter indiwidualny, wychowuje narzędzia dla drugich, istoty nie samoistne i nie zdolne silnej woli; brak swobody i wesołości w dzieciństwie rozstraja i osłabia moralnie.

Obcowanie z dzieckiem od kolebki, pilne nad niem czuwanie, dozwala poznać dokładnie wrodzone usposobienie, dozwala, jak wskazywałam korzystać z popędów i skłonności natury, uszlachetniać je i jednemi działać zbawiennie na drugie.

Dobre nawyknienia dane wychowankowi ułatwiają niezmiernie wyrobienie charakteru. Uważmy, że poczucia moralne dziecka są zwykle niczem innem jak teorją jego czynów; im mniej więc dopuścimy mu błądzić, tem poczucia te będą prawdziwsze. Ogromna jest siła i trwałość nawyknień; nie łudźmy się, abyśmy zdołali, szczepiąc później dobre zasady, naprawić złe z dzieciństwa, przyzwyczajenia. Choćby się zasady przyjęły, i młodzieniec uszlachetnił przez dobre wpływy, to w najlepszym razie zgotowaliśmy mu bolesną walkę. On zapragnie żyć pięknie, pełnić zacne czyny, a będzie mu niesłychanie trudno przezwyciężyć nawyknienia do samowoli, lenistwa, egoizmu, i nieraz one wezmą górę nad najlepszemi postanowieniami.

Nawyknieniami najkonieczniejszemi w dziecinnych latach są: porządek, posłuszeństwo i pracowitość. Kto wcześnie do pierwszego się nie wzwyczai, nie potrafi i później w ład istotny ująć czynności swego życia. Nigdy prawie szlachetniejszej swojej istoty nie zdoła słuchać człowiek, który w dzieciństwie nie słuchał starszych. Hart i siła odmówienia sobie zachcianki, powściągnienia żądzy, przymuszenia się, by dopełnić powinności, albo musi się wyrobić w dziecinnych latach przez posłuszeństwo, albo bardzo trudno o nie kiedykolwiek. Że pracowitość jest ogromną i zaletą i dobrem w życiu, tego dowodzić, zdaje mi się byłoby zbytecznem. Zwrócę tylko uwagę, że narodową naszą wadą jest lenistwo i chęć próżnowania. Jedną z przyczyn, że Ojczyznę straciliśmy i od-

zyskać jej nie możemy, jest lenistwo; bo porywami tylko, a nigdy wytrwale nie pracujemy dla niej; że majątki nasze upadają, że ubóstwa tak niezmiernie wiele, że przy wielkich wrodzonych zdolnościach, nie dość wysoko stoimy naukowo, że około żadnego dobra kraju należycie nie chodzimy, we wszystkiem tem wielką rolę odgrywa lenistwo — to też gorliwie się starajmy w sobie zwyciężać tę wadę, a u dzieci jej nie dopuszczajmy. Bardzo a bardzo wzwyczajajmy je do pracowitości, która nie małą jest podporą charakteru, a oraz szczęścia, bo pokochawszy jakąś pracę, w niej znajdujemy zadowolenie. Wcześnie trzeba zaznaczać dziecku pewną powinność, i od dopełnienia takowej nigdy, dla niczego nie odstępować. Przejąć poszanowaniem powinności, dać ją ukochać, jest jednem z głównych zadań wychowania. Kto święcie dopełnia swoich obowiązków, ten nie może być człowiekiem bez charakteru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PISMIENNICTWO POLSKIE.

Wydawnictwo na cele dobroczynne samborskie. IV. Rocznik. Nakładem i staraniem G. Kohna. Sambor 1880. str 196.

Nie raz pytaliśmy siebie, dlaczego książki zbiorowe, wydawane na cele dobroczynne lub na pamiątkę jakiej rocznicy, zdarzenia etc., co raz mniejszy w naszej publiczności znajdują popyt i z co raz większem przyjmuje je publiczność niedowierzaniem. Zdawało nam się, że przyczyna tego leży w książkach takich nie w publiczności i zadaliśmy sobie pracę przejrzenia kilku wydawnictw zbiorowych. Pokazało się, że na 10-połowa była bezwartościowych. Wiele darować można redakcjom takich wydawnictw dobroczynnych, gdyż tu choć w części da się usprawiedliwić zasada: cel uświęca środki — ale pobłażliwość i cierpliwość ma także swoje granice. Jeżeli, choć raz, głos publiczny nie skarci wyzyskiwania pod płaszczykiem dobroczynności ukrytego, dojdziemy tak daleko, że wydając w przyszłości książkę zbiorową na cel najszlachetniejszy a złożoną z prac wielkiej literackiej wartości — publiczność zawiedziona tylokrotnie i coraz częściej — ani jednego egzemplarza nie kupi, mimo że prasa będzie polecać wydawnictwo.

Uwagi powyższe nasunęły się umysłowi z całą żywością, gdyśmy od deski do deski, przeczytali książkę wymienioną w nagłówku. Prócz urywku z pamiętnika Gillera; artykułu Artwińskiego o instytucie Coopera w Nowym Jorku; kilku udatniejszych wierszy: Kułakowskiego, Grochowalskiej, Tomkiewicza, Antoniewicza, Merzbacha, Dülla i Maryi z Rusiłowa, które razem wzięte nie zajmą 3 arkuszy druku; reszta książki tj. 9 arkuszy, zapełniona jest utworami, z których ani śmiać się, ani płakać, ale nad którémi litować się trzeba. Gdyby się kto silił na zgromadzenie większej niedorzeczności, umysłowej aberracji i płaskości, nie dokonałby tego lepiej jak „IV rocznik samborski". Że nie przesadzamy osądźcie sami.

Np. pan Wojnisław Kazimierz hr. Sawicz Zabłocki drukuje odczyt o kobietach, miany w salonie hr. P... w Baden-Baden i tak zaczyna:

„Kapłanki niosąc ludzkość ku najwyższemu szczytowi Bóstwa — zbrodniarki spychające ją do najgłębszych bezdni piekła — kobiety! Wy jesteście najświętszym i najpodlejszym mowy naszej wyrazem. Ja wasze imię wymawiam jak imię Boga na kolanach i z zachwytem — i wymawiam jak imię najpodlejszego przedmiotu!...

I w takich grzecznych antytezach i wykrzyknikach da capo al fine... Chcecie coś z poezji? Proszę! Wiersz pana Władysława Łonickiego, pod tytułem: „Za torem."

Świat ten uroczy, jednoczy nas społem.
Spojrzyjno w okół, jak sokół wesołem
Obliczem — mara i wiara — odczytasz
I inne... świeże przymierze powitasz.
Precz jedność zawsze... łaskawsze różności!
Jesteś istotą z prostotą ziemiana.
Wychylaj czarę i marę szatana!
Wszak dobre hasła? choć zgasła prawości
Gwiazda zarani... wy w dani przynoście
Pustotę śmiechy, uciechy i róże!
Dalejże, dalej! i nalej i nuże!!!
Wychylaj w imię pielgrzymie wielkości.
— Daleko zajdziesz: wszak znajdziesz raj w niebie???
Ojczyzna powie: „umieram przez ciebie!!"

Konia z rzędem! kto sens znajdzie;... a nie jest to jeszcze najgorszy wiersz w książce.

Z poematu hr. K. Zabłockiego pt. „Nad kołyską Wojnisia" wyjmuję pierwszą zwrotkę:

Gdzie się przeszłość układła, tam łzy i wspomnienie!...
Lecz znowu do dni swoich i jutra koleją,
Jutra... Bo, dzień obecny to jedno stąpienie
Na podwoje świątyni, co błyska Nadzieją...

Albo dalej:

Piersią Boga się kołysz... miłuj a gorąco!
O! to niebieska piękność! U czoła przełyska!..
Niech oblężne tarana samolubstwo strącą,
A wstąpimy do Boga przez owe zwaliska!...

Rozumiecie? Ja tego o sobie powiedzieć nie mogę. Może w „Modlitwie" tegoż autora zasmakujecie, np:

Prawda... jednego bole na mej odpowiedzi,
Łkania, niesenne noce, ciągłe niepokoje...
Miecz i w imię Twe wzięty — klęskami nawiedzi!
A te piersi znękane są to własne moje.

Niczem Rozbickiego Pienia i Skorodrackiego Erotki.

Powieści, nowelle, poezje, epigramy, opisy, co chcecie — wszystko jest — a podobniusieńkie sensem do siebie jak bracia sjamscy. Nic dziwnego. Zrodziła te utwory jedna para małżeńska: całkowity brak talentu, poślubiony chęci studenckiego popisu.

Sic itur ad — dobroczynność!.. Biedna ofiara!...

W. J. Wdowiszewski.

TEATR.

Ileż to już komedyj, dramatów a nawet krwawych tragedyj osnową bywał mezalians! *Nil novi sub sole.* A przecież p. Celina D. autorka trzyaktowej komedji, przedstawionej po raz pierwszy zeszłego tygodnia p. n. *Fantazja* i *Rzeczywistość,* zdołała nam podobny temat jeszcze raz w wcale niezużytych i zajmujących przedstawić szatach, zaczerpawszy wątku w francuskiej powieści Acharda.

Ludwik, syn hrabiego Dorskiego — rzecz bowiem dzieje się w Warszawie — zakochany szalenie w córce cieśli Pawła Drozda, wyznaje tę miłość swemu ojcu i objawia mu zarazem niewzruszone postanowienie zaślubienia Cecylii. Ojciec, znając ekscentryczność swego synalka, zamiast uciekać się do próżnych na razie perswazyj, zezwala rzekomo na małżeństwo, jednakże pod warunkiem, że na jakiś czas przed zaślubinami, narzeczona Ludwika, Cecylia wraz z całą swoją rodziną, zjedzie do zamku hrabiego, celem bliższego wzajemnego poznania; hrabia bowiem przypuszcza, że Ludwik przypatrzywszy się z blizka szanownej rodzinie pana Drozda, ich manierom, nawyczkom, wyobrażeniom, porzuci ten szalony zamiar. W istocie tak się stało. Ludwik, gruntownie wyleczony z swych poddaszowych miłostek, żeni się z milutką, wykształconą siostrzenicą swego ojca, hrabianką Marją, a Cecylia, która tymczasem także doszła do przekonania, że z Ludwikiem nie potrafiłaby być szczęśliwą, wychodzi za swego pierwotnego kochanka, czeladnika stolarskiego, Józefa. Wszyscy z tego obrotu są zadowoleni, prócz matki Cecylji, której zachciewało się koniecznie być wielką panią i łobuza warszawskiego Henryka, który na mającej wkrótce urzeczywistnić się koligacji z hrabiami, budował fantastyczne zamki z lodu.

Poznawszy treść komedji, przypatrzmyż się teraz jej budowie, tem uważniej, skoro wywołała ona w niektórych sferach niezadowolenie, a to z powodu niewłaściwego podsuwania jej takiego znaczenia, jakiego autorka z pewnością jej przypisywać nie zamierzała. Uderzano na autorkę, że nie godzi się dziś wyprowiadać ze sceny tendencyj, trącących zastarzałą kastowością, która potępia związki małżeńskie pomiędzy ludźmi nierównymi urodzeniem i majątkiem. Gdyby autorka była w istocie coś podobnego wypowiedziała, i my byśmy jej to za złe wzięli, z całego przebiegu sztuki jednak wynieśliśmy to przekonanie, że nie powstał w niej ani cień zamiaru bronienia tak zacofanych idei. Zkądże zatem wzięło się odmienne przekonanie między publicznością? Krótka na to odpowiedź: wadliwa budowa sztuki, która poniekąd uprawnia do podobnych przypuszczeń. Autorka chciała uwydatnić, że kardynalnym warunkiem szczęśliwego małżeństwa jest moralna harmonja małżonków — a nieprzezornością techniczną podsunęła Publiczności inne tłómaczenie swych intencji. Całe nieporozumienie wynikło, naszem zdaniem, z niejednolitej architektoniki w sztuce. Pierwszy akt, trzymany w tonie poważnej komedji, nastraja mimowoli słuchacza do głębszego wnikania w rzecz, zmusza go do szukania *tendencji.* Pod wrażeniem pierwszego aktu, widz przykłada i do drugiego tę samą miarę i upatruje w nim, wnioskując z fałszywego stanowiska, złośliwe, *tendencyjne* ośmieszanie zacnych ale dość naiwnych i rubasznych rękodzielników, czegoby wcale nie czynił, gdyby go pierwszy akt był odrazu wprowadził do właściwego kryterium, t. j. gdyby autorka w pierwszym akcie, nie maskując właściwego zamiaru, od razu się była przyznała, że pisze nie komedję społeczną, ale *farsę,* w jaką się cała sztuka w drugim akcie najwyraźniej przekształca. W obec rzeczonego tematu, skoro trudno przypuszczać, ażeby ktokolwiek poważył się dziś na serjo bronić zastarzałych a autorce niesłusznie podsuwanych tendencyj — nie można nawet

było nic innego napisać jak *tylko* farsę, tem snadniej, że takie postaci jak hrabiego, jego syna, Drozda a poniekąd i inne, chociaż wcale zgrabnie i konsekwentnie przeprowadzone, nie są wizerunkami zdjętymi z dzisiejszego naszego społeczeństwa, ale stworzonymi w wyobraźni, kwalifikującymi się wybornie do pokroju farsy. Otóż przyznając autorce wiele niezaprzeczonego talentu, musimy wytknąć ową niejednolitość stylu architektonicznego, zacierającą właściwy charakter sztuki; widocznie autorka zadowolona powabem zewnętrznych akcesorjów i efektów, zapomniała o dość kruchym szkielecie, który nie ze wszystkiem krytykę wytrzymać może. W przyszłości trzeba się z góry decydować czy się pisze komedją, czy farsę i stosownie nakreślony plan od pierwszej chwili stosownemi nakładać barwami, aby znów nie popaść w sprzeczność z sobą i z publicznością.

Że w utworze p. C. D. nie widać tej zgody między samym pomysłem a wykonaniem, moglibyśmy na to bardzo wiele przytoczyć dowodów — niestety brak miejsca na to nie pozwala; natomiast niechaj błędna intrepretacja przez publiczność zamiarów autorki będzie dla niej wskazówką, jak w tej mierze ostrożnie postępować należy.

Tego samego wieczora przedstawiono po raz pierwszy jednoaktową farsę p. A. Abrahamowicza: *On ma bzika!,* w której z niepospolitem życiem są przedstawione męki wcale nie oszukiwanego męża, podejrzywającego jednak skutkiem przypadkowego zbiegu okoliczności swą żonę o wiarołomstwo. Ogromnemi zaletami tej sztuki jest szybkie tempo, bardzo dobry djalog i w ogóle zręczne inscenowanie; drobną zaś, pod sam koniec dopiero wyłaniającą się wadą (wspólną prawie wszystkim dotychczas znanym sztukom p. Abrahamowicza), że autor często w szczupłe ramy zbyt wielki usiłuje wcisnąć materjał; tak bowiem jak w poprzednich tak i w ostatniej sztuce scena ostatnia mogłaby z powodzeniem jeśli nie całkiem odpaść, to przynajmniej uledz bardzo znacznemu uszczupleniu. W każdym razie można p. Abrahamowiczowi powinszować odniesionego sukcesu.

R. St.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Słownika geograficznego Ziem polskich wyszło już zeszytów 15, które obejmują litery A do D. Znakomita ta praca nie znalazła dotąd uznania w naszej publiczności (w Galicji) i wydawnictwo się uskarża, że do nas zaledwie kilkadziesiąt egzemplarzy odchodzi. Już to co prawda Geografia jest słabą stroną naszą i w tym względzie podobni jesteśmy do Francuzów, którzy brak znajomości własnego kraju tak dotkliwie przypłacili w czasie ostatniej wojny z Prusami. Dosyć jest powiedzieć, że nie posiadamy żadnego podręcznika Geografii polskiej, bo istniejące w tym względzie prace obejmują tylko geografię fizyczną. Można się założyć, że nikt u nas nie potrafi wyliczyć gubernji i powiatów polskich pod zaborem moskiewskim lub pruskim, że nikt nie potrafi wyliczyć ludności miast większych jak Poznań, Warszawa, Wilno, Kijów itp. że również nikt nie wie dokładnie jaka jest liczba ogólna ludności polskiej, litewskiej, ruskiej ect. ect. W obec tego czyż dziwić się można, że slownik geograficzny nie znalazł nawet stu odbiorców w Galicji? A jednak jest to wydawnictwo bardzo ważne i bardzo pożyteczne, a znajomość kraju własnego jest dla każdego Polaka obowiązkiem.

*** W wydawnictwie dzieł tanich Adama Wiślickiego opuściły w ostatnich czasach prasę: *Powieści wiejskie* Karoliny Świetla, znakomitej powieściopisarki czeskiej. *Teresa* Erkmana-Chatriana powieść alzacka z czasów rewolucji francuskiej. *Hesperus* Jana Paula (Biografia).

*** Donoszą nam, iż wkrótce opuści prasę zbiorowe wydanie powieści i nowell Aleksandra Głowackiego (Bolesława Prusa).

W pierwszym tomie, który w tych dniach opuści prasę, mieszczą się następujące rzeczy: „Przygoda Stasia", „Antek", „Powracająca fala" i „Michałko."

*** Pod tytułem „Pańskie dziady" Bałucki napisał nową powieść, drukującą się w „Tygodniu powieści i romansów," a której niezadługo ujrzymy oddzielną odbitkę.

*** P. Marjan Gawalewicz napisał obraz dramatyczny w jednym akcie, p. t. „Preludjum Szopena".

*** W Krakowie, z dniem 5. b. m. zaczęło wychodzić nowe pismo polityczne, dwutygodniowe p. t. „Krakowianin". Szczęść Boże.

*** Znajduje się obecnie w Warszawie, na wystawie sztuk i starożytności, pierwszy oryginalny portret Mickiewicza, malowany r. 1827 przez Vivienne'a w Moskwie.

*** Matejko nie ustaje w swej olbrzymiej pracy!

Kolosalny znów obraz jego „Hołd pruski" bliski jest wykończenia.

Do lata dzieło to, które znawcy ze wszystkich płócien mistrza stawią podobno najwyżej, ma być gotowe.

Szkic do „Sobieskiego pod Wiedniem" jest już rzucony!

*** Donoszą nam z Wiednia, iż w tamecznym „Kunstvereinie" wystawione są w tej chwili następujące obrazy polskich artystów:

Mroczkowskiego Aleksandra „Kulig z XVIII wieku": Löflera „Powrót z jassyru"; Abramowicza Bronisława „Głowa"; Koniuszki W. „Ślepy starzec"; Aleksandra Lessera „Ostatnie chwile Kopernika w Frauenburgu"; p. Jerichau-Baumanowej (rodowitej warszawianki obecnie przebywającej w Rzymie) „Po przegranej bitwie".

*** Czasopismo illustrowane „Svetozor" pomieściło piękny portret Bohdana Zaleskiego, rysunku Józefa Mukarovsky'ego

W temże piśmie znajdujemy przekład wiersza Asnyka „Dwa anioły", dokonany przez H. Czaslavsky'ego, jakoteż przekład wiersza B. Zaleskiego „Synowski żal", dokonany przez Rud. Pokornego.

*** „Lumir" w kilku ostatnich numerach pomieszcza piękny poemat jednego z pierwszych poetów czeskich, Jaroslava Verchlicky'ego.

Tytuł poematu „Twardowski".

Peeta w pięknych obrazach maluje jedną z epok naszej przeszłości.

Poemat z wielu względów godzien naszej uwagi.

*** Donoszą z Wiednia, iż rodak nasz Niedzielski, pełen talentu architekt, otrzymał wspólnie z innym budowniczym wiedeńskim pierwszą nagrodę konkursową za plan gmachu teatralnege, który stanąć ma w Reichenbergu.

Społeczne i ekonomiczne.

*** Towarzystwo generalne więzień, zawiązane w r. 1877 w Paryżu pod prezydencją senatora Dufaure, korzystając z obszernych z całym cywilizowanym światem stosunków, w organie swoim wydawanem co miesiąc pod nazwą „Bulletynów" *(Bulletin de la société générale des prisons)* zamieszcza wielce pouczające i ciekawe wiadomości w kwestji penitencyjnej ze wszystkich niemal nadesłane krajów. W ostatnim poszycie „Bulletynów" z lutego r. b. spotykamy się też z opisem uroczystości otwarcia kolonji dla małoletnich przestępców w Studzieńcu (w Kongresówce), odbytej na miejscu w maju r. z. Autor artykułu tego p. Moldenhawer (który w poprzednich „Bulletynach" zapoznał już ich czytelników z organizacją i celami Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, a także i z samym Studzieńcem), dodał do opisu uroczystości: uwagi o samej kolonji, wyprowadził wnioski z rezultatów jakie przyjęty w osadzie systemat wychowania dotychczas wydał, zestawił go wreszcie z systematem istniejącym we francuskiem Mettray. Nie wątpimy, iż nowa ta praca p. Moldenhawera zaciekawi ogół czytających, tak jak to działo się z poprzedniemi, na skutek których zawiązała się ożywiona korespondencja między ich autorem a wybitniejszymi rzecznikami instytucyj dla nieletnich w Europie a nawet w Ameryce.

*** Popularność polskiej piosenki.

Znany mazurek Zarzyckiego do słów Asnyka „Między nami nic nie było", z takim wdziękiem wprowadzony na repertuar koncertowy przez Kochańską — rozbrzmiewa teraz na estradach zagranicznych. .

Oto w koncercie drezdeńskiej „Liedertafel" w zeszłym tygodniu pani Schuch-Proska zachwyciła publiczność odśpiewaniem tej pieśni w niemieckim przekładzie Hartmanna.

„Zwischen uns ist nichts geschehen" podobało się tak słuchaczom, że grzmiącemi oklaskami domagali się powtórzenia — ale śpiewaczka innym jakimś utworem obdarzyła publiczność.

*** W dniu 28. sierpnia r. b. ma się rozpocząć w Berlinie międzynarodowy kongres szachowy.

Nagrody są bardzo znaczne.

Szachiści warszawscy wezwani zostali do przyjęcia udziału w tym kongresie.

Przy tej sposobności możemy donieść, że dwie partje grane pomiędzy Warszawą a Moskwą nie rozstrzygnięte są jeszcze.

Jedna z tych partyj, w której Warszawa miała pierwsze posunięcie, nastręcza prawdopodobieństwo wygranej, druga zaś, w której Moskwa zaczynała, zdaje się przedstawiać szanse równe.

Obie partje jednak przeciągną się jeszcze dość długo i kto wie, czy w bieżącym roku nastąpi rozstrzygnięcie...

*** Akademja rolnicza w Pruszkowie (Proskau) zostaje zniesioną z dniem 1. kwietnia r. b., a w zamian za to do wrocławskiego uniwersytetu przyłączony będzie instytut rolniczy, którego dyrektorstwo obejmie profesor Funke z Hohenheim; na profesorów powołano pp.: dra Holdenfleisa z Wrocławia, dra Friedlendera z Proszkowa, dra Weiske i dra Metzdorfa również z dawnej akademji proszkowskiej.

*** Do Lipska nadeszła z Melbourne depesza telegraficzna, zawiadamiająca, iż słynna fabryka fortepianów Juljusza Blüthnera otrzymała znów najwyższe odznaczenie na tamtejszej wystawie powszechnej.

Pierwsza nagroda przyznaną została tak fortepianom jak i pianinom blüthnerowskim.

Z Drukarni „Gazety Narodowej" pod zarządem A. Skerla. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.